

BESTSELLER „NEW YORK TIMES A”

ETAF RUM

Pamiętaj, że
**NIE JESTEŚ
MĘŻCZYZNĄ**

POWIEŚĆ

Wpojono nam, że musimy same siebie uciszać,
że milczenie nas ocali

 **editio**

Tytuł oryginału: A Woman Is No Man

Tłumaczenie: Edyta Stępkowska

ISBN: 978-83-283-7325-9

Copyright © 2019 by Etaf Rum. All rights reserved.

Polish edition copyright © 2021 by Helion S.A.
All rights reserved.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/pamzen>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Przyszłam na świat bezgłośnie pewnego zimnego, pochmurnego dnia w Brooklynie w Nowym Jorku. Nigdy nie rozmawiano o moim zaburzeniu. Sama dowiedziałam się, że nie mam głosu dopiero po kilku latach, gdy otworzyłam usta, żeby poprosić o to, czego chciałam, i okazało się, że nikt mnie nie słyszy. Tam, skąd pochodzę, brak głosu jest mojej płci przypisany kulturowo i traktowany jako coś równie naturalnego jak biust i tak samo koniecznego jak to, że następne pokolenie dorasta w jej brzuchu. Ale oczywiście nigdy wam o tym nie powiemy. Tam, skąd pochodzę, nauczyliśmy się ukrywać swoją przypadłość. Wpojono nam, że musimy same siebie uciszać, że milczenie nas ocali. Dopiero teraz, po wielu latach, wiem, że to nieprawda. Dopiero teraz, gdy zapisuję tę opowieść, czuję, jak mój głos się budzi.

Tej historii jeszcze nie słyszeliście. Nieważne, ile przeczytaliście książek i ile znacie opowieści, uwierzcie mi: nikt jeszcze nie opowiedział wam historii takiej jak ta. Tam, skąd pochodzę, takie historie zachowujemy dla siebie. Dziełenie się nimi ze światem zewnętrznym jest niepojęte, niebezpieczne i stanowi ostateczną hańbę.

Za to na pewno nas widzieliście. Przejdźcie się po centrum Nowego Jorku w słoneczne popołudnie. Najpierw przejdźcie Manhattan wzdłuż, aż ulice zaczyną się wyginać i plątać, przypominając te w Starym Świecie. Kierujcie się na wschód, przez most Brookliński, aż panorama Manhattanu zacznie blednąć za waszymi plecami. Po drugiej stronie mostu będzie potężny korek. Wskoczcie do żółtej taksówki i przejdźcie się wzdłuż Flatbush Avenue, gdzie kamienice są niższe, ledwie trzy, góra cztery piętra, a fasady stare. Most Verrazano-Narrows unosi się na horyzoncie niczym ogromna mewa z rozpostartymi skrzydłami, a rozległy widok na Manhattan zdaje się odległym mirażem. Przez chwilę kierujcie się na południe, tam, gdzie dawne magazyny przemieniono w eleganckie kawiarnie i modne bary ostrygowe, a małe, rodzinne sklepy żelazne trwają niewzruszone od pokoleń. Gdy amerykańskie kawiarnie zaczną rzednąć wypierane przez szyldy w obcych językach, będziecie wiedzieli, że jesteście już blisko. Skracając na wschód, po dwóch przecznicach dotrzecie do Piątej Alei. Tam właśnie jest Bay Ridge. Nasza dzielnica zajmuje niecałe osiem kilometrów

kwadratowych i stanowi prawdziwy brookliński tygiel kulturowy. Ulice pełne są Latynosów, przybyszów z Bliskiego Wschodu, Włochów, Rosjan, Greków i Azjatów, a wszyscy posługują się swoimi językami narodowymi i kultywują własne tradycje i kulturę. Budynki pokrywają murale i graffiti. W oknach i na balkonach powiewają kolorowe flagi. Powietrze wypełnia słodki zapach churros, szaszłyków i potpourri — jak gulasz z wielorakich ludzkich doświadczeń. Wsiądźcie na rogu Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i Piątej Alei, a staniecie wśród piekarni, szisza barów i rynków mięsnych z mięsem halal. Przejdźcie się obsadzonym drzewami chodnikiem wzdłuż Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, aż dotrzecie do starego domu szeregowego, niczym nieróżniącego się od pozostałych. Czerwona cegła dawno wyblakła, a brązowe drzwi z numerem pięćset czterdzieści pięć są zakurzone. Tu mieszka nasza rodzina.

Chociaż nasza historia nie zaczyna się w Bay Ridge. W każdym razie nie tak naprawdę. Zanim tu dotrzemy, musimy przewrócić kilka kartek wstecz, do czasów, zanim odnalazłam swój głos, a nawet zanim się urodziłam. Na razie nie jesteśmy jeszcze w domu przy Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy ani w Brooklynie, ani nawet w Ameryce. Jeszcze nie wsiedliśmy na pokład samolotu, który przeniesie nas z Bliskiego Wschodu do tego nowego, nieznanego świata. Nie przemierzyliśmy jeszcze Atlantyku i nawet nie wiemy, że któregoś dnia to zrobimy. Jest rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty i znajdujemy się w Palestynie. To jest początek.

Isra

BIR ZAJT, PALESTYNA

Wiosna 1990

Przez większą część swojego siedemnastoletniego życia Isra Hadid gotowała kolację razem z matką. W ciepłe popołudnia zawijała liście winogron, nadziewała wydrążoną dynię makaronową albo gotowała na wolnym ogniu soczewicę na zupę, gdy powietrze robiło się bardziej rześkie, a na winoroślach przy domu nie było już liści. Codziennie pochylały się z *Mamą* nad piecem, stojąc blisko siebie, jakby powierzały sobie jakąś tajemnicę w klębach pary buchającej z garnków, i trwały tak, dopóki przez okno nie zaczęło wpadać srebrno-pomarańczowe światło zachodzącego słońca. Z domu rodziny Hadid widać było z góry całą okolicę — zbocza usiane dachami z czerwonej dachówki i drzewami oliwnymi, wszystko jasne, gęste i dzikie. Isra zawsze otwierała okno na oścież, żeby rano wpuścić do środka smakowity zapach fig i migdałów, a wieczorem szelest liści na cmentarzach poniżej.

Było późno, wkrótce zabrzmiał wezwanie do modlitwy maghrib, oznaczające koniec gotowania na dziś. Isra z *Mamą* przeniosła się do łazienki. Tam podwiną rękawy podomek i zmyją z palców ślady sosu w kolorze przydymionej czerwieni. Isra modliła się od siódmego roku życia. Pięć razy dziennie między wschodem a zachodem słońca klękała obok matki. Ostatnio zaczęła wyczekiwać pory modlitwy, gdy znów będą blisko, ramię przy ramieniu, delikatnie stykając się stopami. To była dla Isry jedyna okazja, aby poczuć ludzki dotyk. Właśnie rozległ się intensywny dźwięk adhanu oznaczający, że pora na modlitwę.

— Dziś modlitwa maghrib będzie musiała poczekać — powiedziała matka po arabsku, wyglądając przez okno kuchenne. — Nasi goście już tu są.

Ktoś zapukał do frontowych drzwi i *Mama* podbiegła do zlewu, gdzie szybko opłukała ręce i wytarła w czystą szmatkę. Wychodząc z kuchni, narzuciła na swoje drobne ciało czarny saub¹, a długie czarne włosy zasłoniła hidżabem w tym samym kolorze. Chociaż miała dopiero trzydzieści pięć lat, *Isra* uważała, że *Mama* wygląda na znacznie więcej przez ciężką pracę, która poznała jej twarz głębokimi bruzdami.

Złapała wzrok *Isry* i upomniała ją:

— Pamiętaj, żeby zmyć zapach czosnku z rąk, zanim się przywitasz z naszymi gośćmi.

Isra umyła ręce, uważając, aby nie poplamzić różowego kaftana, który *Mama* wybrała dla niej na tę okazję.

— Jak wyglądam?

— Wyglądasz dobrze — odparła *Mama* i odwróciła się, żeby wyjść z łazienki. Przez ramię rzuciła jeszcze: — I dobrze zapnij hidżab, żeby nie było widać włosów. Nie chcemy zrobić złego wrażenia na gościach.

Isra zrobiła, co jej kazano. W holu słyszała, jak jej ojciec, *Yacob*, recytował tradycyjne pozdrowienie, prowadząc gości do *sali*. *Isra* wiedziała, że za chwilę zajrzy do kuchni i poprosi o wodę, więc szybko wyjęła z szafki trzy szklanki i napełniła je, żeby były gotowe. Goście często narzekali na stromą górską ścieżkę wiodącą do ich domu, zwłaszcza w takie dni jak dziś, kiedy powietrze było gorące i miało się wrażenie, że ich dom stoi przy samym słońcu. *Isra* mieszkała na jednym z najbardziej stromych wzgórz w Palestynie. *Yacob* twierdził, że zamieszkał tu, bo patrząc z góry na okolicę, czuł się potężny, jakby był królem tego wszystkiego. *Isra* słuchała przechwałek ojca w milczeniu. Nigdy by się nie ośmieliła uświadomić *Yacobowi*, jak bardzo dalekie od prawdy było jego poczucie wszechmocy. W rzeczywistości *Yacob* z rodzicami zostali ewakuowani z własnego domu w leżącej niedaleko morza Liddzie podczas izraelskiej inwazji na Palestynę, gdy on sam miał dziesięć lat. I to było prawdziwym powodem, dla którego mieszkali w Bir Zajt, na stromym wzgórzu z dwoma cmentarzami poniżej — chrześcijańskim po lewej i muzułmańskim po prawej stronie. Był to skrawek ziemi, którego nikt inny nie chciał i jedyny, na jaki było ich stać.

Mimo to *Isra* uwielbiała widok na Bir Zajt. Poniżej cmentarzy widziała swoją szkołę dla dziewcząt, czteropiętrowy betonowy budynek obrośnięty

¹ W Palestynie: odświętna, zwykle haftowana suknia kobieca — wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

winoroślami, a na wprost niego oddzielony polem migdałowców stał meczet z niebieską kopułą, w którym modlili się Yacob i jego trzech bracia, gdy ona z *Mamą* modliły się w domu. Zawsze, gdy wyglądała przez kuchenne okno, Isrę przepełniała tęsknota podszyta lękiem. Tak bardzo była ciekawa, co też się mogło znajdować poza granicami wioski. Lecz choć bardzo pragnęła wyruszyć w nieznane, to, co znajome, kusiło bezpieczeństwem i wygodą. I jeszcze ten głos *Mamy* zawsze w tyle głowy: „Miejsce kobiety jest w domu”. Nawet gdyby Isra postanowiła odejść, nie wiedziałaby, dokąd pójść.

— Zaparz imbryk czaju — powiedział Yacob, gdy wszedł do kuchni i Isra podała mu tacę z wodą. — I wrzucić kilka listków mięty więcej.

Isrze nie trzeba było tego mówić, na pamięć znała panujące w domu obyczaje. Odkąd sięgała pamięcią, obserwowała matkę przy obsłudze gości. Na stole w dużym pokoju zawsze kładła pudełko czekoladek Mackintosh, a zanim przynosiła bakławę, podawała gościom prażone pestki arbuza. Napoje również należało podawać w określonej kolejności: najpierw miętowy czaj, a potem turecką kawę. *Mama* twierdziła, że przestawienie tej kolejności to afront, i rzeczywiście tak było. Isra podsłuchiwała kiedyś, jak jedna kobieta opowiadała, że sąsiedzi powitali ją filiżanką tureckiej kawy.

— Odwróciłam się i wyszłam — powiedziała wzburzona. — Równie dobrze mogliby mnie wyrzucić ze swojego domu.

Isra sięgnęła po zestaw czerwono-złotych porcelanowych filiżanek, jednocześnie nasłuchując głosu *Mamy* z pokoju. Słyszała, jak Yacob wybuchnął śmiechem, a po chwili śmiali się również pozostali mężczyźni. Isra była ciekawa, co ich tak rozbawiło.

Kilka miesięcy wcześniej, w tym samym tygodniu, w którym wypadły jej siedemnaste urodziny, po powrocie ze szkoły Isra zastała Yacoba siedzącego w *sali* z jakimś młodym mężczyzną i jego rodzicami. Z tamtego dnia — dnia, w którym po raz pierwszy jej się oświadczone, najbardziej w pamięci utkwiło jej to, jak po wyjściu gości Yacob wściekał się na *Mamę* o to, że nie podała czaju w zabytkowych szklankach, które trzymali na specjalne okazje.

— Teraz wiemy, że jesteśmy biedni! — krzyczał, a jego otwarta dłoń drgała nerwowo. *Mama* nic nie powiedziała, tylko po cichu wycofała się do kuchni. Między innymi z biedy Yacobowi tak bardzo zależało na tym, aby wydać Isrę za mąż. To synowie pomagali mu uprawiać pole i zarabiać na życie, i to oni kiedyś przekażą nazwisko rodowe kolejnemu pokoleniu. Córka była w domu

rodzinnym jedynie gościem, który cicho czeka, aż jakiś mężczyzna ją przejmie wraz z kosztami, jakie generowała.

Od tamtego czasu Isrze oświadczyło się dwóch mężczyzn — piekarz z Ramallah i taksówkarz z Nablus, ale Yacob obu odrzucił. W kółko opowiadał o jakiejś rodzinie, która przyleciała z Ameryki, żeby znaleźć żonę dla syna, i Isra właśnie zrozumiała, że ojciec czekał na tego konkretnego kandydata. Tego, który siedział teraz w ich *sali*.

Isra miała mieszane odczucia na myśl o przeprowadzce do Ameryki, miejsca, które знаła tylko z telewizyjnych wiadomości i o którym pobieżnie czytała w szkolnej bibliotece. Z tych skąpych informacji zorientowała się, że kultura Zachodu nie była tak rygorystyczna jak ich własna. To w równym stopniu ekscytowało ją i napawało lękiem. Co się stanie z jej życiem, jeśli się wyprowadzi do Ameryki? Czy konserwatywna dziewczyna, taka jak ona, odnajdzie się w tak liberalnym środowisku?

Często do późnej nocy nie mogła zasnąć, pogrążona w rozmyślaniach o swojej przyszłości i wyobrazeniach o tym, jak też będzie wyglądać jej życie, gdy opuści dom Yacoba. Czy jakiś mężczyzna kiedykolwiek ją pokocha? Ile będzie miała dzieci? Jak im da na imię? Czasem marzyła, że poślubi miłość swojego życia i zamieszkają razem w małym domku na szczycie góry, z dużymi oknami i dachem z czerwonej dachówki. Innym razem udawało jej się zobaczyć pod powiekami twarze swoich dzieci — dwóch chłopców i dwóch dziewczynek, wpatrzone w nią i jej męża. Kochającą rodzinę, taką jak te, o których czytała w książkach. Teraz jednak na próżno szukała nadziei, którą budził w niej tamten obrazek. Życia w Ameryce nigdy sobie nie wyobrażała. Nie wiedziała nawet, od czego miałyby zacząć. I ta świadomość ją przerażała.

Żałowała, że nie może otworzyć ust i powiedzieć rodzicom: „Nie! Nie chcę takiego życia”. Lecz Isra już w bardzo młodym wieku nauczyła się, że tylko posłuszeństwem można zdobyć miłość. Dlatego buntowała się potajemnie, głównie za pomocą książek. Codziennie po szkole, gdy już namoczyła ryż, rozwiesiła ubrania swoich braci, przyszykowała *sufre*², a potem pozmywała naczynia, dyskretnie wycofywała się do swojego pokoju, gdzie czytała przy otwartym oknie, a księżyc oświeślał strony bladym światłem. Czytanie było jedną z wielu rzeczy, których zabraniała jej *Mama*, ale Isra nigdy jej nie słuchała.

² Kolację.

Przypomniała sobie, jak kiedyś powiedziała matce, że na drzewach nie było już żadnych morw, gdy tak naprawdę zamiast zrywać owoce, całe popołudnie przesiedziała na cmentarzu z nosem w książce. Tamtego wieczora Yacob zbił ją podwójnie za to nieposłuszeństwo. Nazwał ją *szarmutą*, czyli dziwką. Powiedział, że pokaże jej, co spotyka niegrzeczne dziewczęta, po czym pchnął ją na ścianę i wybatożył paskiem od spodni. Pokój stał się biały. Wszystko wydawało się płaskie. Zamknęła oczy i czekała, aż jej ciało zdrętwiało i nie była w stanie się ruszyć. Kiedy Isra wspominała tamte chwile, wzbierał w niej strach, ale wraz z nim coś jeszcze. Jakiś dziwny rodzaj odwagi.

Ustawiła parujące filizanki na tacy i weszła do pokoju. *Mama* powiedziała, że aby zachować równowagę, nie wolno patrzeć prosto na unoszącą się parę, dlatego Isra wpatrywała się w podłogę. Na moment przystanąła. Kątem oka widziała mężczyzn i kobiety, siedzących po przeciwnych stronach pokoju. Zerknęła na *Mamę*, która siedziała tak jak zawsze: z pochyloną głową, wpatrzona w czerwony turecki dywan pod swoimi stopami. Isra zerknęła na jego wzór. Esy i floresy, wszystkie pozawijane w dokładnie ten sam sposób, tak że koniec jednego był początkiem następnego. Odwróciła wzrok. Miała ochotę zerknąć na młodego mężczyznę, ale czuła, że Yacob bacznie ją obserwuje, i niemal słyszała jego ostrzegawczy ton: „Porządna dziewczyna nigdy nie patrzy na mężczyznę!”.

Isra wciąż zatem patrzyła w dół, ale pozwoliła oczom powędrować na drugi koniec podłogi. Zobaczyła skarpetki młodszego z mężczyzn. W szaro-różową kratkę, obszyte białą nitką u góry. Nigdy takich nie widziała na ulicach Bir Zajt. Przeszły ją ciarki.

Z tacy buchały chmury pary i zasłaniały jej twarz, kiedy szybkim krokiem obeszła pokój, aż wszyscy mężczyźni zostali obsłużeni. Potem przeszła na drugą stronę, żeby obsłużyć matkę kandydata. Isra zauważyła, że granatowy hidżab kobiety był narzucony nonszalancko i ledwie zasłaniał farbowane henną włosy. Nie widziała jeszcze, aby muzułmanka nosiła hidżab w ten sposób. W każdym razie nie na żywo. Może w telewizji, w czarno-białych egipskich filmach, które oglądały z *Mamą*, albo w libańskich teledyskach, w których pokazywano skąpo ubrane tancerki, i nawet na jednej ilustracji w swojej ulubionej książce, *Księżdzie tysiąca i jednej nocy*, zbiorze ludowych przypowieści osadzonych w czasach średniowiecznych. Ale nigdy w Bir Zajt.

Gdy się pochyliła, Isra zorientowała się, że matka kandydata śledzi każdy jej ruch. Była to pulchna, zgarbiona kobieta o krzywym uśmiechu i ciemnych,

migdałowych oczach, które mrużyła w kącikach. Z wyrazu jej twarzy Isra domyśliła się, że kobiecie nie przypadł do gustu jej wygląd. *Mama* też często powtarzała, że Isra jest nijaka z bladą jak mąka twarzą i oczami czarnymi jak węgiel. Najbardziej uderzające w wyglądzie Isry były włosy, długie i ciemne jak Nil. Tyle że nikt ich nie widział pod hidżabem. Chociaż to i tak bez różnicy, pomyślała Isra. Nie była specjalnie ładna i już.

I właśnie ta ostatnia myśl najmocniej ją zabolą. Kiedy stanęła przed matką kandydata, poczuła, jak górna warga zaczyna jej drżeć. Podeszła do kobiety nieco bliżej, ściskając kurczowo tace. Czuła, że Yacob wwierca się w nią wzrokiem, i słyszała, jak chrząka znacząco. Mimo to nachyliła się do kobiety i gdy porcelanowe filiżanki brzęczały na tacy, zapytała:

— Czy napije się pani kawy po turecku?

Nie zadziało. Amerykanie zdawali się nawet nie zauważyć, że podała najpierw kawę. Co więcej, kandydat krótko po tym się oświadczył, a Yacob zgodził się od razu, uśmiechając się tak szeroko jak nigdy jeszcze.

— Co ci przyszło do głowy, żeby podać im najpierw kawę? — wściekała się *Mama*, kiedy goście poszli i razem z Isrą wróciły do kuchni dokończyć gotowanie. — Nie jesteś już młoda, masz prawie osiemnaście lat! Chcesz na zawsze siedzieć w moim domu?

— To z nerwów — wymamrotała Isra i miała nadzieję, że Yacob jej nie ukarze. — To był przypadek.

— Tak, na pewno. — *Mama* rozwiązała saub i zsunęła go z ramion. — Tak jak wtedy, kiedy dosypałaś soli do czaju Umm Alego, bo powiedział, że jesteś chuda jak szczapa.

— To też był przypadek.

— Powinnaś być wdzięczna, że jego rodzina nie jest tak tradycyjna jak nasza — podsumowała *Mama*. — Inaczej mogłabyś zapomnieć o wyjeździe do Ameryki.

Isra podniosła na matkę mokre oczy.

— Co ze mną będzie w Ameryce?

Mama unikała jej wzroku. Stała zgarbiona nad deską do krojenia i siekała cebulę, czosnek i pomidory, główne składniki większości posiłków w ich domu. Isra wdychała znajome zapachy i tak bardzo chciała, żeby *Mama* ją przytuliła i wyszeptała jej do ucha, że wszystko będzie dobrze. Może nawet zaofiarowała, że uszyje jej kilka hidżabów, na wypadek gdyby w Ameryce nie dało się ich kupić. Ale *Mama* milczała.

— Bądź wdzięczna — odezwała się wreszcie, wrzucając cebulę na patelnię. — Sam Bóg zesłał ci tę okazję. Dobrą przyszłość w Ameryce. Lepszą niż to tutaj. — Omiotła ręką zardzewiały blat, starą beczkę, w której grzali wodę do kąpeli, popękane płytki PCV na podłodze. — Chcesz, żeby tak wyglądało twoje życie? Chcesz już zawsze mieszkać bez ogrzewania w zimie, spać na materacu cienkim jak papier i prawie przymierać głodem?

Ponieważ Isra milczała, zapatrzona w skwierczącą na patelni cebulę, matka wyciągnęła rękę i uniosła jej brodę, zmuszając ją, by na nią spojrzała.

— Wiesz, ile dziewcząt byłoby gotowych zabić, aby się znaleźć na twoim miejscu? Żeby wyjechać z Palestyny i zamieszkać w Ameryce?

Isra spuściła wzrok. Wiedziała, że *Mama* ma rację, ale nie umiała sobie wyobrazić życia w Ameryce. Problem w tym, że Isra nie czuła się u siebie również w Palestynie, gdzie wszyscy zdawali się żyć w ciągłym napięciu, skwapliwie przestrzegając tradycji, żeby nikomu się nie narazić. Isra marzyła o rzeczach wielkich — o tym, aby nie wpychano jej na siłę w sztywne ramy konwencji, marzyła o przygodzie i przede wszystkim o miłości. Nocą, kiedy skończyła czytać, a książkę bezpiecznie ukryła pod materacem, Isra leżała w łóżku i zastanawiała się, jak by to było się zakochać i samej być kochaną. Umiała sobie nawet wyobrazić tego mężczyznę, choć nie widziała jego twarzy. On by dla niej zbudował całą bibliotekę, w której trzymałaby wszystkie swoje ulubione opowieści i wiersze. Co wieczór czytali by razem przy oknie — Rumiego, Hafeza i Gibrana. Opowiadałaby mu o swoich marzeniach, a on słuchałby z uwagą. Rankiem parzyłaby dla niego miętowy czaj, a wieczorem przyrządzała pożywne zupy. Chodziliby na długie spacery po górach, trzymając się za ręce, i Isra czułaby się, po raz pierwszy w życiu, warta miłości drugiego człowieka. Ludzie mówiliby: „Spójrzcie tylko na Isrę i jej męża. Taką miłość spotyka się tylko w baśniach”.

Isra odchrząknęła.

— Ale *Mamo*, a co z miłością?

Matka spojrzała na nią przez kłęby pary.

— Co z nią?

— Zawsze chciałam się zakochać.

— Zakochać? Co ty wygadujesz? Wychowałam *szarmutę* czy jak?

— Nie... oczywiście, że nie... — Isra się zawahała. — Ale co, jeśli kandydat i ja się nie kochamy?

— Nie kochacie się? A co ma miłość do małżeństwa? Myślisz, że twój ojciec i ja się kochamy?

Isra spuściła wzrok.

— Myślałam, że pewnie tak, chociaż trochę.

Mama westchnęła.

— Wkrótce się przekonasz, że w życiu kobiety nie ma miejsca na miłość. Tylko jednego ci potrzeba i tym czymś jest cierpliwość.

Isra próbowała pohamować rozczarowanie. Starannie dobierając słowa, powiedziała:

— Może w Ameryce życie kobiet jest inne.

Mama wlepiła w nią beznamiętny wzrok.

— W jaki sposób inne?

— Nie wiem — odparła Isra, łagodząc swój głos, by nie urazić matki. — Może tamtejsze obyczaje nie są tak surowe jak nasze? Może kobiety są lepiej traktowane?

— Lepiej? — *Mama* pokręciła głową i, blanszując warzywa, spytała prześmiewczym tonem. — Że niby tak jak w tych bajkach, które czytasz?

Isra poczuła, że robi się czerwona.

— Nie, nie tak.

— Więc jak?

Isra chciała ją zapytać, czy w Ameryce małżeństwo wygląda tak jak związek jej rodziców, gdzie mężczyzna decydował w domu o wszystkim i bił żonę, jeśli czymś mu się naraziła. Isra miała pięć lat, gdy po raz pierwszy widziała, jak Yacob pobił *Mamę*. Powodem był niedogotowany kawałek jagnięciny. Isra do dziś pamiętała oczy *Mamy*, wyzierające z nich błaganie, by przestał, i chmurną twarz Yacoba, kiedy ją smagał. W jednej chwili Isrę spowiła ciemność i dowiedziała się czegoś nowego o świecie. Że nie tylko dzieci się bije, ale matki również. Kiedy tamtego wieczora Isra patrzyła *Mamie* w oczy, kiedy widziała, jak pospiesznie ociera łzy, poczuła gniew, którego nie była w stanie zapomnieć.

Wciąż ostrożnie ważąc słowa, spytała:

— Myślisz, że w Ameryce kobiety są bardziej szanowane?

Mama przygwoździła ją spojrzeniem:

— Szanowane?

— Albo może więcej warte? Sama nie wiem.

Mama odłożyła drewnianą łyżkę.

— Posłuchaj mnie, córko. Nieważne, jak daleko wyjedziesz, kobieta zawsze będzie kobietą. Tu czy tam. Miejsce nie zmieni jej *nasib*, jej przeznaczenia.

— Ale to niesprawiedliwe.

— Teraz jesteś za młoda, żeby to zrozumieć — powiedziała *Mama* — ale zapamiętaj sobie na zawsze. — Podniosła brodę Isry. — Dla kobiety nie istnieje nic poza jej *bajt wa dar*, jej domem i rodziną. Małżeństwo, macierzyństwo — to jedyna wartość kobiety.

Isra pokiwała głową, ale w duchu gorąco się temu sprzeciwiała. Przycisnęła dłoń do ud i potrząsała głową, żeby powstrzymać łzy. *Mama* nie miała racji, powtarzała w myślach. To, że jej nie udało się znaleźć szczęścia z Yacobem, nie znaczyło, że Isrze się nie uda. Ona będzie kochać swojego męża tak, jak *Mama* nigdy nie kochała Yacoba. Będzie się starała go zrozumieć, zadowolić i tym sposobem na pewno zasłuży na jego miłość.

Kiedy Isra ponownie podniosła wzrok, okazało się, że *Mamie* drżą ręce. Po policzkach popłynęło kilka łez.

— *Mamo*, ty płaczesz?

— Nie, nie. — Odwróciła wzrok. — Te cebule są strasznie mocne.

Isra swojego kandydata zobaczyła ponownie dopiero podczas islamskiego ślubu, który odbył się tydzień później. Nazywał się Adam Ra'ad. Ich spojrzenia skrzyżowały się tylko na chwilę, kiedy duchowny czytał fragment Świętego Koranu, i ponownie, gdy każde z nich trzykrotnie powtórzyło słowo *kubul* oznaczające akceptację. Podpisanie kontraktu małżeńskiego poszło szybko i sprawnie, w przeciwieństwie do wystawnego wesela, które zamierzano urządzić, kiedy tylko Isra otrzyma wizę imigracyjną. Isra usłyszała, jak Yacob mówił, że to zajmie tylko dwa tygodnie, bo Adam ma amerykańskie obywatelstwo.

Z okna kuchennego Isra widziała Adama, który na zewnątrz palił papierosa. Przyglądała się, jak jej nowy mąż przechadza się ścieżką przed ich domem, z półuśmiechem na twarzy i zmrużonymi w słońcu oczami. Z tej niewielkiej odległości wyglądał na jakieś trzydzieści lat, może trochę więcej, bo na twarzy widać już było pierwsze zmarszczki. Górną wargę przesłaniał elegancko przystrzyżony wąs. Isra wyobraziła sobie, jak to będzie go całować, i poczuła, że się czerwieni. „Adam”, pomyślała. „Adam i Isra”. Ładnie to brzmiało.

Adam miał na sobie granatową koszulę z guzikami i piaskowe spodnie khaki z gumką przy kostkach. Lśniące brązowe buty ze skóry z dziurkami i mocną czarną podeszwą dobrej jakości. Jego stopy swobodnie muskały zakurzoną ziemię. Wyobraziła sobie jego młodszą wersję, która boso gra w piłkę na ulicach

Bar Zajt. Nietrudno było to sobie wyobrazić. Jego stopy balansowały na nierównej powierzchni, jakby się wychował w kraju takim jak ten. Ile mógł mieć lat, gdy wyjechał z Palestyny? Był jeszcze dzieckiem? Nastolatkiem? A może już mężczyzną?

— Może pójdziecie z Adamem posiedzieć na balkonie? — Yacob zwrócił się do Isry, kiedy Adam wrócił do środka. Adam popatrzył na nią i uśmiechnął się, ukazując żółtkłe zęby. Isra odwróciła wzrok. — No, idźcie już — ponaglił ich Yacob. — Musicie się poznać.

Isra była czerwona na twarzy, kiedy prowadziła go na balkon. Adam siedł z nią wyraźnie zmieszany, ze wzrokiem wbitym w podłogę i rękami w kieszeniach. Przyszło jej do głowy, że się denerwował, ale zaraz odpędziła tę myśl. Był mężczyzną. Czym miałby się stresować?

Na zewnątrz był piękny marcowy poranek. Idealna pogoda na owocobranie. Isra niedawno przycięła gałęzie figowca, który opierał się o ich dom, żeby był gotowy na letnie kwitnienie. Obok niego rosły dwa pochylone migdałowce, na których kwiatki już zaczęły się pojawiać. Isra zauważyła, że Adam otworzył szerzej oczy, wyraźnie zauroczony scenerią. Balkon był osłonięty winoroślą i Adam przesunął palcami po kiści żalążków, które do lata napęcznieją i zmieniają się w winogrona. Patrząc na jego minę, zastanawiała się, czy kiedykolwiek wcześniej widział winorośl. Być może tylko w dzieciństwie. O tyle rzeczy chciała go zapytać. Dlaczego wyjechali z Palestyny i kiedy? Jak dotarli do Ameryki? Otworzyła usta i szukała w głowie słów, ale żadnych nie znalazła.

Na środku balkonu stała huśtawka z kutego żelaza. Adam usiadł na niej i czekał, aż do niego dołączy. Wzięła głęboki wdech i usiadła obok. Ze swojego miejsca widzieli cmentarze, oba były mocno zaniedbane i Isra zawstydyła się na ten widok. Miała nadzieję, że to nie zmniejszy jej wartości w oczach Adama. Próbowwała się podbudować tym, co zawsze powtarzał Yacob: „Nieważne, gdzie mieszkasz, byle we własnym domu. Wolnym od najeźdźców i krwi”.

To był cichy poranek. Przez chwilę tylko siedzieli zapatrzeni w rozciągający się przed nimi krajobraz. Isra poczuła ciarki wzdłuż kręgosłupa. Mimowolnie pomyślała o dzinnie, który zamieszkiwał cmentarze i ruiny. Dorastając, nasłuchiwała się niezliczonych historii o istotach nie z tego świata, które podobno potrafiły opętywać ludzi. Wiele kobiet z sąsiedztwa zarzekało się, że było świadkami obecności szatana w pobliżu cmentarzy na zboczu. Isra wymamrotała pod nosem pospieszną modlitwę. Zastanawiała się, czy to nie był zły znak, patrzeć na cmentarz, kiedy się po raz pierwszy siedzi obok swojego męża.

Adam natomiast patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem. Ciekawe, o czym on myślał. Dlaczego nic nie mówił? Czekał, aż ona się odezwie? Z pewnością to on powinien się odezwać pierwszy! Przypomniła sobie różne damsko-męskie interakcje ze swoich książek. Najpierw zdawkowa prezentacja, następnie osobiste zwierzenia, a potem narastała wzajemna sympatia. Tak między ludźmi rodziła się miłość. A w każdym razie tak Sindbad Żeglarz zakochał się w księżniczce Szirin w *Księdze tysiąca i jednej nocy*. Tylko że Szirin przez większość historii była ptakiem. Isra postanowiła bardziej trzymać się realiów.

Adam odwrócił się i spojrzał na nią. Przełknęła głośno ślinę i szarpała lekko krawędź hidżabu. Zawiesił wzrok na pojedynczych pasmach czarnych włosów, które spod niego wystawały. Uświadomiła sobie, że jeszcze nie widział jej włosów. Czekala, aż coś powie, ale on tylko patrzył. Jego wzrok przesunął się w górę i w dół, a wargi powoli się rozsuwały. Było w jego oczach coś niepokojącego. Jakaś intensywność. Co to było? W szklistym połysku tego spojrzenia zobaczyła wszystkie dni reszty swojego życia ułożone w stos, jak kartki. Gdyby tylko mogła je przejrzeć i dowiedzieć się, co ją czeka.

Isra oderwała od niego wzrok i ponownie przeniosła go na cmentarze. Może po prostu się denerwuje, tłumaczyła sobie. Albo ona mu się nie podoba. To by miało sens. Ostatecznie nigdy nie uchodziła za piękność. Oczy miała zbyt małe i zbyt ciemne i kwadratową brodę. Mama nieraz wyśmiewała jej ostre rysy twarzy, mówiąc, że nos ma długi i spiczasty, a czoło za duże. Isra była przekonana, że Adam patrzy właśnie na jej czoło. Nasunęła głębiej hidżab. Może powinna pójść po to pudełko czekoladek Mackintosh, które mama trzymała na specjalne okazje? Albo zaparzyć czaju? Już miała zaproponować winogrona, kiedy sobie przypomniała, że jeszcze nie dojrzały.

Kiedy ponownie odwróciła się do Adama, zwróciła uwagę, że trzęsą mu się kolana. A potem w mgnieniu oka przysunął głowę i pocałował ją w policzek.

Isra uderzyła go w policzek.

Wstrząśnięta czekała, aż ją przeprosi, aż powie coś, że wcale nie chciał jej pocałować, że jego ciało zareagowało samo z siebie. Ale on tylko odwrócił wzrok, był cały czerwony i intensywnie wpatrywał się w miejsce gdzieś między nagrobkami.

Z wielkim trudem zmusiła się, aby również spojrzeć na cmentarze. Pomyślała, że może między nagrobkami kryje się coś, czego ona nie była w stanie dostrzec, jakaś tajemnica, która pozwalała zrozumieć, co tu się działo. Pomyślała o *Księdze tysiąca i jednej nocy* i księżniczce Szirin, która tak bardzo chciała się

stać człowiekiem, żeby móc poślubić Sindbada. Isra tego nie pojmowała. Jak ktokolwiek mógłby chcieć być kobietą, skoro mógł być ptakiem?

*

— On próbował mnie pocałować — Isra zwierzyła się matce szeptem, żeby Yacob nie usłyszał, gdy Adam i jego rodzina sobie poszli.

— Jak to próbował cię pocałować?

— Próbował mnie pocałować, a ja go spoliczkowałam! Wybacz, *Mamo*. Wszystko stało się tak szybko, że nie wiedziałam, co innego zrobić. — Isrze trzęsły się ręce i wsunęła je między uda.

— Dobrze — powiedziała *Mama* po długiej przerwie. — Nie pozwól mu się dotknąć, dopóki nie będzie po weselu. Nie chcemy, żeby ci Amerykanie rozpowiadali wszędzie, że wychowaliśmy cię na *szarmutę*. Tak właśnie robią mężczyźni, zapamiętaj to sobie. Zawsze obwiniają kobietę. — *Mama* pokazała czubek małego palca. — Ani palca mu nie daj.

— Nie. Oczywiście, że nie!

— Reputacja jest wszystkim. Nie pozwól mu się więcej tknąć.

— Nie martw się, *Mamo*. Nie pozwolę.

Następnego dnia Adam i Isra pojechali autobusem do Jerozolimy, do miejsca, które nazywało się Generalnym Konsulatem Stanów Zjednoczonych i w którym ludzie składali wnioski o wizy imigranckie. Isra bardzo się denerwowała, że znów ma zostać sama z Adamem, ale nie było na to rady. Yacob nie mógł z nimi jechać, ponieważ jego palestyński dowód tożsamości, *hawija*, wydany przez izraelskie władze wojskowe, nie pozwalał mu na swobodny wjazd do Jerozolimy. Isra również posiadała *hawiję*, ale teraz jako żona Amerykanina powinna napotkać na mniejsze trudności w punktach kontrolnych.

To przez punkty kontrolne Isra nigdy jeszcze nie była w Jerozolimie, która podobnie jak większość miast w Palestynie była kontrolowana przez Izraelczyków, więc wjazd był możliwy tylko za pozwoleniem. Te pozwolenia należało pokazywać w każdym z kilkuset punktów kontrolnych i przy blokadach drogowych, które Izraelczycy postawili na palestyńskiej ziemi, utrudniając Palestyńczykom przemieszczanie się pomiędzy ich własnymi miastami i miasteczkami, a czasem nawet w ich obrębie. Niektóre punkty kontrolne były obstawione ciężko uzbrojonymi izraelskimi żołnierzami i strzeżone przez czołgi. Inne były bramami, które zamykano, gdy żołnierze schodzili z warty. Adam przeklinał za każdym razem, gdy się zatrzymywali na którejś z tych blokad, narzekając na

rygorystyczne kontrole i duży ruch na ulicach. W jednym z punktów pomachał izraelskim żołnierzom swoim amerykańskim paszportem przed nosem i rozmawiał z nimi po angielsku. Isra trochę rozumiała, bo w szkole uczyła się angielskiego, i była pod wrażeniem biegłości, z jaką on mówił w tym języku.

Gdy wreszcie dotarli do konsulatu, musieli czekać w wielogodzinnej kolejce. Isra stała za Adamem z pochyloną głową i odzywała się tylko, gdy się do niej zwracano. Adam jednak prawie się nie odzywał i Isra zastanawiała się, czy jest na nią zły o to, że go spoliczkowała wtedy na balkonie. Rozważała, czy go nie przeprosić, ale w duchu uważała, że nie miała za co przeproszać. Mimo że podpisali islamski kontrakt małżeński, on nie miał prawa tak po prostu jej całować przed nocą poślubną. A jednak słowo „przepraszam” wisiało na czubku jej języka. Zmusiła się, by je przełknąć.

W okienku powiedziano im, że Isra może się zgłosić po odbiór wizy już za dziesięć dni. Teraz Yacob mógł zacząć planować wesele, pomyślała później, gdy spacerowali po Jerozolimie. Przechadzając się wąskimi uliczkami starego miasta, Isra była oszołomiona natłokiem wrażeń. W powietrzu czuła zapach rumianku, szaławii, mięty i soczewicy z otwartych worków jutowych ustawionych przed sklepem z przyprawami oraz słodki aromat świeżo upieczonej kunafy z pobliskiego *dukana*³. Przed sklepem mięsnym widziała klatki z kurczakami i królikami oraz bezlik pozłacanej biżuterii w rozlicznych sklepach jubilerskich. Na rogach ulic starzy mężczyźni w kefijach sprzedawali kolorowe szale. Kobiety, od stóp do głów w czerni, pospiesznie przemýkały ulicami. Niektóre nosiły haftowane hidżaby, dopasowane spodnie i okrągłe okulary przeciwsłoneczne. Inne w ogóle nie miały hidżabów i Isra wiedziała, że to Izraelki. Ich wysokie obcasy stukały na nierównych chodnikach. Chłopcy gwizdali. Samochody snuły się po wąskich drogach, trąbiąc wściekle klaksonami i zostawiając za sobą chmury spalin. Żołnierze izraelscy patrolowali ulice z długimi strzelbami przewieszonymi przez szczupłe torsy. Powietrze wypełniały kurz i hałas.

Na lunch zjedli falafele w bułce, które Adam kupił na straganie niedaleko meczetu Al-Aksa. Gdy jedli, Isra w nabożnym zachwycie patrzyła na złotą kopułę.

— Piękny, prawda? — powiedział Adam pomiędzy kęsami.

— Tak, bardzo — przyznała Isra. — Nigdy wcześniej go nie widziałam.

Adam odwrócił się i spojrział na nią.

— Naprawdę?

³ Sklepiku.

Pokiwała głową.

— Dlaczego?

— Trudno się tu dostać.

— Tak długo mnie nie było, że zapomniałem już, jak tu jest. Po drodze chyba z pięć razy zatrzymywali nas na blokadach. To jakiś absurd!

— Kiedy wyjechałeś z Palestyny?

Adam przeżuł kęs.

— Przeprowadziliśmy się do Nowego Jorku w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym, kiedy miałem szesnaście lat. Rodzice od tamtej pory byli tu parę razy, ale ja za każdym razem musiałem zostać i doglądać delikatesów mojego ojca.

— Byłeś kiedyś wewnątrz?

— Oczywiście. Wiele razy. Wiesz, jako nastolatek chciałem być imamem. Duchownym. Jednego lata spędziłem tu cały ramadan, spałem tu nawet. Nauczyłem się na pamięć całego Koranu.

— Naprawdę?

— Uhm.

— I tym się teraz zajmujesz w Ameryce? Jesteś duchownym?

— O, nie.

— Więc co robisz?

— Prowadzę sklep.

— A dlaczego nie jesteś imamem? — dociekała Isra ośmielona ich pierwszą prawdziwą rozmową.

— W Ameryce nie mogłem tego robić.

— Jak to?

— Ojciec potrzebował mnie do pomocy w prowadzeniu rodzinnego interesu. Musiałem porzucić tamten plan.

— Aha. — Isra zamilkła na moment. — Nie spodziewałam się.

— Dlaczego?

— Po prostu zawsze myślałam... — znów przerwała, żeby lepiej się nad tym zastanowić.

— Co myślałaś?

— Nie wiem, po prostu zakładałam, że ty jesteś wolny. — Spojrzał na nią dziwnie. — No wiesz, bo jesteś mężczyzną.

Adam najpierw nic nie powiedział i tylko na nią patrzył. W końcu odparł:

— Jestem wolny. — I odwrócił wzrok.

Kiedy skończyli jeść, Isra długo mu się przyglądała. Nie mogła przestać myśleć o tym, jak jego twarz stężała na moment, gdy wspomniał o swoim marzeniu z dzieciństwa. O jego napiętym uśmiechu. Wyobraziła go sobie w tym majestatycznym meczecie, prowadzącego modlitwę maghrib podczas ramadanu, recytującego Koran mocnym, śpiewnym głosem. Rozczuliła ją myśl, że Adam każdego dnia obsługiwał kasę, liczył pieniądze i wykładał towary na półki, gdy tak naprawdę pragnął być zupełnie gdzie indziej. I siedząc tak obok niego, Isra po raz pierwszy pomyślała, że może wcale nie tak trudno będzie go pokochać.

*

Swoją ostatnią noc w Bir Zajt Isra spędziła wciśnięta w metalowe połączane krzesło z wargami pomalowanymi na kolor morw, ciałem owiniętym w niezliczone warstwy białej siatki, włosami w lokach spryskanych brokatem. Ściany wokół niej wirowały. Przyglądała się, jak rosły coraz wyżej, aż ona sama stała się prawie niewidzialna, a potem jeszcze zbliżały się do siebie, jakby miały ją zgnieść. Kobiety w barwnych strojach okręzały ją w tańcu. Dzieci stłoczone w kątach zjadały się baklawą i piły pepsi. Głośna muzyka przecinała powietrze jak fajerwerki. Wszyscy wiwatowali i klaskali w rytm jej rozedrganego serca. Kiwała głową i uśmiechała się, gdy jej winszowali, ale w środku z wszystkich sił próbowała się nie rozplakać. Zastanawiała się, czy goście weselni rozumieli, co tu się działo. Czy zdawali sobie sprawę, że za kilka godzin wsiądzie do samolotu z mężczyzną, którego ledwie знаła, i wyląduje w kraju, którego kultura jest jej zupełnie obca.

Adam siedział obok w czarnym garniturze i śnieżnobiałej koszuli. Był jedynym mężczyzną na sali weselnej. Pozostali mieli własne pomieszczenie, z dala od widoku tańczących kobiet. Nawet młodszy bracia Adama, Omar i Ali, których Isra poznała dopiero kilka minut przed weselem, mieli zakaz wstępu. Nie umiała rozstrzygnąć, ile mieli lat, ale musieli mieć dwadzieścia kilka. Jeden z nich co jakiś czas wsuwał głowę, żeby popatrzeć na kobiety na parkiecie, i za każdym razem któraś upominała go, żeby się trzymał części dla mężczyzn. Isra szukała wzrokiem własnych braci. Byli o wiele za mali, żeby siedzieć z mężczyznami, i rzeczywiście wypatrzyła ich, jak biegali na drugim końcu sali. Była ciekawa, czy kiedyś jeszcze ich zobaczy.

Jeśli poziom hałasu był miarą szczęścia, matka Adama była najszczęśliwszą osobą na sali. Fareeda była postawną, rozłożystą kobietą i Isra miała wrażenie, że w jej obecności parkiet się kurczy. Miała na sobie czerwono-czarny saub

z rękawami haftowanymi w orientalne wzory i szeroki pas złotych monet wokół grubej talii. Wąskie oczy obrysowała czarną kredką. Silnym głosem śpiewała każdą piosenkę, zataczając w powietrzu kółka długą, białą pałką. Mniej więcej co minutę przystawiała dłoń do ust i wydawała z siebie głośny, wibrujący okrzyk radości, zaghruta. Jej jedyna córka, Sarah, która wyglądała na jakieś jedenaście lat, rzuciła na podwyższenie, na którym siedzieli państwo młodzi, płatki róż. Była młodszą i szczuplejszą wersją swojej matki: ciemne, migdałowe oczy, burza czarnych loków i złocista jak zboże skóra. Isra niemal widziała dorosłą wersję tej dziewczynki, która siedzi tak jak ona teraz, a jej drobną sylwetkę przygniata biała suknia ślubna. Aż się wzdrygnęła na tę myśl.

Rozejrzała się za swoją matką. Siedziała w rogu sali weselnej i przebiebrała palcami. Na razie przez całe wesele nie wstała z krzesła. Isra zastanawiała się, dlaczego *Mama* nie chce zatańczyć. Może była zbyt smutna, pomyślała. A może obawiała się wysłać zły sygnał. Dorastając, Isra często słyszała, jak kobiety krytykowały matkę panny młodej, jeśli bawiła się na weselu za dobrze, jakby za bardzo się cieszyła, że pozbywa się córki. Zastanawiała się, czy *Mama* w duchu cieszyła się, że się jej pozbędzie.

Adam uderzył dłonią w bęben darbuka, wyrывая Isrę z rozmyślań i zmuszając ją, by przeniosła wzrok ze swojej matki. Teraz patrzyła, jak Fareeda wręcza Adamowi białą pałkę i wyciąga go na parkiet. Tańczył z pałką w jednej i darbuką w drugiej ręce. Muzyka przeszła w jazgot. Kobiety wokół nich klaskały i posyłały Isrze zazdrosne spojrzenia, jakby trafiło jej się coś, co należało się im. Niemał czytała w ich myślach: „Jak to możliwe, że takiej brzyduli tak się poszczęściło? To moja córka powinna jechać do Ameryki”.

Potem Adam i Isra zatańczyli razem, chociaż Isra nie bardzo wiedziała jak. *Mama* przy rozmaitych okazjach męczyła ją, żeby poszła tańczyć, powtarzając, że to poprawi jej wizerunek i że matki kawalerów prędzej ją zauważą, gdy się im zaprezentuje. Ale Isra nigdy nie słuchała. Wydawało jej się nienaturalnym tańczyć tak swobodnie, tak otwarcie pokazywać się innym. Adam za to wydawał się być w swoim żywiole. Podskakiwał na jednej nodze z jedną ręką za plecami, a drugą wymachiwał w powietrzu białą pałką. Isra pomyślała, że z flagą Palestyny owiniętą wokół szyi i tarbuszu⁴ z czerwonego atłasu na głowie Adam wygląda jak sułtan.

— Używaj rąk — powiedział bezgłośnie.

⁴ Fez, nakrycie głowy w kształcie ściętego stożka.

Isra uniosła obie ręce powyżej talii i zaczęła potrząsać nadgarstkami. Widziała, że Fareeda kiwa głową z aprobatą. Otoczyła ich grupka kobiet, które również poruszały dłońmi w rytm darbuki. Miały na sobie wzorzyste czerwone sauby z przyczepionymi do nich złotymi monetami na wysokości bioder. Niektóre trzymały w górze okrągłe płonące świece. Inne umieściły długie zapalone świece na każdym z palców i kołysały lśniącymi dłońmi w górze. Jedna z kobiet miała nawet całą koronę ze świeczek, w której wyglądała, jakby jej głowa stała w ogniu. Parkiet rozświetlił się jak żyrandol.

Muzyka ucichła. Adam chwycił Isrę za łokieć i odprowadził ją z parkietu. Fareeda poszła za nimi, niosąc biały kosz. Isra miała nadzieję, że będzie mogła wrócić na swoje miejsce, lecz na środku podwyższenia Adam zatrzymał ją i powiedział:

— Odwróć się do wszystkich.

Fareeda otworzyła kosz, żeby pokazać bogactwo zgromadzonej w nim biżuterii. Ze strony zebranych rozległy się ochy i achy. Fareeda podawała Adamowi kolejno po jednej złotej ozdobie, a on każdą z nich nakładał na Isrę. Isra nie odrywała wzroku od jego dłoni. Miał długie, grube palce, a ona powstrzymywała odruch, by się odsuwać za każdym razem, gdy je do niej zbliżał. Wkrótce szyję miała obwieszoną ciężkimi naszyjnikami i czuła na skórze chłód grubych monet, którymi były ozdobione. Bransolety wiły się wokół jej nadgarstków jak sznury o końcach w kształcie głowy węża. Kolczyki przypominające monety piekły w płatki uszu, a palce były ciężkie od pierścieni. Gdy Isra miała na sobie dwadzieścia siedem sztuk złotej biżuterii, Fareeda podrzuciła w górę pusty kosz i wykonała jeszcze jedną zaghrutę. Wszyscy wiwatowali, a Isra stała przed nimi cała w złocie, nie będąc w stanie się ruszyć, jak manekin na wystawie.

Nie miała pojęcia, co życie ma dla niej w zanadrzu, i nie mogła w żaden sposób tego zmienić. Zadrżała z przerażenia, gdy to sobie uświadomiła. Lecz zaraz upomniała się w duchu, że to tylko chwilowe wrażenie. Oczywiście, że w przyszłości będzie miała większą kontrolę nad własnym losem. Wkrótce znajdzie się w Ameryce, kraju ludzi wolnych, gdzie być może znajdzie tę miłość, o której zawsze marzyła, i życie lepsze niż to, które się trafiło jej matce.

Isra uśmiechnęła się do tej myśli. Może kiedyś, jeśli Allah będzie łaskaw obdarować ją córkami, one też będą miały lepsze życie niż ona.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion

Palestyna, 1990

Siedemnastoletnia Isra woli czytać książki, niż zajmować się kandydatami na męża, których wynajduje dla niej ojciec. W ciągu tygodnia wrażliwa marzycielka wbrew swojej woli zostaje narzeczoną, a następnie żoną jednego z nich i wkrótce jest zmuszona do przeprowadzki na Brooklyn. Tam z trudem próbuje sprostać wymaganiom bezdusznej teściowej Fareedy i Adama, obcego mężczyzny, który został jej mężem. Presja, pod jaką żyje Isra, wzrasta wraz z narodzinami kolejnych dzieci — czterech córek zamiast synów. W jej świecie rodzenie chłopców jest obowiązkiem każdej kobiety.

Brooklyn, 2008

Osiemnastoletnia Deya, najstarsza córka Isry, musi spotykać się z kandydatami na mężów, bo tak każe jej babka Fareeda. Deya wolałaby spełnić swoje marzenie i iść na studia. Babka jest jednak w tej kwestii nieugięta: jedynym sposobem, aby zapewnić Dei godną przyszłość, jest wydać ją za właściwego mężczyznę.

Tymczasem los ma wobec Dei zupełnie inne plany i wkrótce dziewczyna podejmie decyzje, które doprowadzą ją do szokującej prawdy o własnej rodzinie.



Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>

Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
• <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
• <http://editio.pl/novosci>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny na:

ebookpoint



ISBN 978-83-283-7325-9



cena: 49,90 zł